

JÓZEF BARAN

## Przystanek Marzenie (46)

(fragmenty)



Kiedyś płałem się w piękniejszych snach. Snach „ikaryjskich”. Oto idę sobie ulicą, sam a czasem w tłumie przechodniów i nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczynam machać rękami i wznoszę się niczym ptak coraz wyżej i wyżej na oczach zdumionych przechodniów, z których niektórzy są moimi znajomymi.

Albo wychodzę na małe wzgórze, poruszam rękami i... frunę, czym sam jestem zdumiony, bo nie podejrzewałem się o takie zdolności.

Zdarzyło się niegdyś w latach studenckiej młodości – a Adam Ziemiannin był tego świadkiem – że pomyliła mi się jawa ze snem i na bardzo dużym gazie, w akademiku dziewcząt ze Studium Nauczycielskiego – postanowiłem zademonstrować swój lot z balkonu trzeciego pietra. Na szczęście jedna z koleżanek, dość potężnej budowy, ściągnęła mnie brutalnie w ostatniej chwili z balkonu i grzmotnęła mną – podobno – bez skrupułów o podłogę.

Mówimy sen, a to może przedsmak Wieczności za grubą matową szybą; zmieszane ze sobą wszystkie czasy i wymiary?

**Marzenie**

*czasem marzenie  
jest ważką  
puchem  
unoszącym się  
nad nasłonecznionymi  
wodami  
częściej*

*kretem  
przebijającym się  
całymi latami  
przez duszne podziemne  
labirynty Minotaura  
bez końca*

*w stronę słońca*

## Znów intensywne życie w snach

Swoimi zapiskach o snach wywołałem wilka z lasu, bo oto przez dwie noce z rządu moje życie w śnie było intensywniejsze od życia na jawie.

Wczoraj miałem sen z Arturem Sandauerem, który żyje, choć byłem pewny, że dawno umarł. Okazało się, że jakimś cudem goszczę znów u Sandauerów w warszawskim mieszkaniu przy ul. Karłowicza, gdzie jego żona, znana malarka Erna Rosenstein, krząta się w milczeniu po dużym pokoju, przyrządza Arturowi i mnie cienkie herbatki z jednej torebki. Mam pretensje sam do siebie, że zapomniałem o profesorze na prawie 20 lat i z tak lekkim sercem przyjąłem do wiadomości, że zmarł w szpitalu na Brodnic. Tymczasem on się jakoś wywinął śmierci, ale jest bardzo schorzał i – jakby to powiedzieć – zdegradowany. To nie jest już Sandauer, który wierzył w siebie jako wielkiego maga krytyki, potrafiącego czarami unieśmiertelnić autora i dzieło.

Rozmawiając z nim, odnoszę wrażenie jakby w ogóle przestał się pasjonować literaturą, wierzyć w jej boskotwórczą moc, a nowej literatury (po 1989) nie czyta. Zapytany, co o niej sądzi, odpowiada wymijająco i nie na temat. Jest ze mną również dziennikarz radiowy czy telewizyjny, ale z wywiadu wychodzą nici. Mam wrażenie, że Artur żywi do mnie skrywaną pretensję, iż nie szukałem go po jego rzekomym pogrzebie i że tak łatwo pogodziłem się z wiadomością, iż zmarł na guza tętniaka. Bardzo mi z tego powodu przykro, a poza tym szkoda mi tak wspaniałych rozmów o literaturze, które mogły być kontynuowane, gdyby nie zostały na wiele lat zerwane.

Po wyjściu z mieszkania uświadamiam sobie, że nie pokazałem mu żadnej mojej książki napisanej w czasie, gdy się nie widywaliśmy. Budzę się z mocnym postanowieniem, iż natychmiast po przyjeździe do Krakowa – prześlę mu wszystkie zbiorki. Zresztą, nie tylko zbiorki... ale przede wszystkim powiem mu o dzienniku! Tak, o dzienniku. O *Koncerte dla nosorożca*, w którym kilkakrotnie jest wspomniany. Już wyobrażam sobie, jak się ucieszy, gdy to przeczyta i może napisze do mnie list, że jest dumny, iż właśnie on mnie odkrył, nie tylko jako poetę, ale i eseistę, i że zrobiłem przez ten czas postępy!

W tym momencie uprzytomniam sobie, przechodząc z półdrzemki na jawę, że Artur jednak nie żyje, więc nie wyślę mu książek. Budzę się pełen żalu...

W drugą noc znów retrospektywny sen. I to tak intensywny, że mnie przeraził, bo pomyślałem sobie, że może zwariowałem. Jadę do Warszawy na reportaż. Ale wyjazd mi się nie udał, więc tekstu z wyjazdu nie będzie i pewnie nie zwrócą mi w redakcji

kosztów podróży. W dodatku na drugi dzień muszę znowu udać się do stolicy, bo poprosił mnie o to mój przyjaciel ze Sztokholmu, filozof Aleksander Orłowski, który zjawił się nagle w Krakowie. Towarzyszy nam kolega z redakcji. Postanawiam „pożenić” wyjazd towarzyski z dziennikarskim... W Warszawie idziemy na obiad do klubu dziennikarzy na Foksal. Olek zawsze lubił dobrze zjeść. Lecz w tym momencie kończy się przyjemna część snu, bo gdy siedzimy przy stole, pałaszując dania, uzmysławiam sobie, że przecież on umarł pół roku temu, więc skąd u diabła się tu nagle zjawił?! Pytam go: „Olek, ale przecież ty nie żyjesz! Jak się tu znalazłeś?”...

Olek uśmiecha się tajemniczo i kładzie palec na ustach na znak, żebym dużo nie mówił. Po tym jego uśmiechu przechodzą mi ciarki po plecach. Tym bardziej, że zaczyna się teraz surrealistyczna puenta snu: Orłowski, który odchodzi w stronę baru – rozdzwaja się, a potem roztraja, rozłumia wręcz. Przecieram oczy, widząc wielu Orłowskich, w wielu wcieleniach: jeden młodziutki, drugi Olek dojrzały, trzeci – stary, czwarty jeszcze starszy, niż był, gdy umarł... Bardzo lubiliśmy się, ale mimo to jego rozmnażanie się w moich oczach budzi we mnie grozę. W dodatku, gdy jednego z tych Olków dotykam, czuję, że ma skostniałe dłonie, a więc może nie żyje, choć żyje...

Wydaje mi się, że już nie śnię (choć dalej śnię) a mimo to, gdy wychodzę z restauracji, a właściwie wybiegam, zauważam w tłumie przechodniów twarze Orłowskich. Tak, że zastanawiam się nad sobą, czy nie zwariowałem?

Muszę się wybrać do mojej córki Ewy, psychoterapeutki, wpada mi do głowy jedna myśl. A może jestem już na drugim świecie? – wpada mi do głowy drugie przypuszczenie. Wrażenie wzmacnia widok przechodniów o dziwnych, jakby martwych twarzach... Potem zaczynam się gubić w zrzuwanym mieście, otoczonym zasiekami, błędzę po zaułkach stolicy.

Wreszcie budzę się wystraszony, zaczynam rozmyślać, co by to oznaczały te dwa, noc po nocy, spotkania z moimi zmarłymi przyjaciółmi: Sandauerem i Orłowskim, którzy się nigdy nie znali, a łączyło ich jedynie żydowskie pochodzenie?

Jest piąta rano. Wkradam się do pokoju dwuletniego wnuczka Jasia i przykładam rękę do jego czoła (miał wczoraj lekką gorączkę)... Czuję, że czoło ma ciepłe, ale wnuk spokojnie śpi.

Rano dzwonię do Borzęcina i pytam o zdrowie mojej 94-letniej mamy. Brat Gienek mówi, że wszystko w porządku. Oddycham z ulgą...

Jakie szczęście, że sny najczęściej są bez konsekwencji...

cdn.